

ZŁUSZCZONY CZARNY NAPIS na prasowanym szkle głosi: „Philip Marlowe. Usługi detektywistyczne”. Dość odrapane drzwi znajdują się na końcu dość odrapanego korytarza w budynku, którego początki sięgają czasu, kiedy łazienki wyłożone kafelkami były podporą cywilizacji. Drzwi są zamknięte, lecz obok znajdują się kolejne, z takim samym napisem, i te już nie są zamknięte. W środku nie zastaniesz nikogo poza mną i spasioną muchą, zapraszam. Chyba że jesteś z Manhattanu w stanie Kansas.

Był to jeden z tych przejrzystych letnich poranków, które zdarzają się wczesną wiosną w Kalifornii przed nadejściem mgieł. Deszcze ustały. Wzgórza nie utraciły swojej zieleni, a z doliny między grzbietami Hollywood dało się dojrzeć śnieg na wysokich górskich szczytach. Sklepy z futrami ogłaszały doroczne wyprzedaże, a publiczne przybytki obracające szesnastoletnimi dziewczynkami zarabiały krocie. Jakarandy w Beverly Hills zaczynały kwitnąć.

Przez dobre pięć minut nie spuszczałem muchy z oczu, czekając, aż sobie przysiądzie. Ale nie chciała. Woląла ćwiczyć nawroty, przy których wyśpiewywała prolog do opery *Pajace*. Ja przez cały ten czas siedzia-

łem z przygotowaną do uderzenia packą. Na róg biurka padała plama jasnego światła i wiedziałem, że prędzej czy później mucha musi tam wylądować. Lecz kiedy wreszcie to zrobiła, nawet tego nie zauważyłem. Brzęczenie ustało i ot tak, już tam siedziała. A wtedy zadzwonił telefon.

Sięgnąłem po słuchawkę powolnym, cierpliwym ruchem lewej ręki. Uniosłem ją ostrożnie i powiedziałem cichutko:

– Proszę chwilę poczekać.

Delikatnie położyłem słuchawkę na biurku, na brązowej podkładce. Mucha dalej siedziała, lśniąca, błękitnozielona i pełna grzechu. Nabrałem powietrza do płuc i wzięłem zamach. To, co z niej zostało, przeleciało przez pół biura i spadło na dywan. Podszedłem, podniosłem muchę za nienaruszone skrzydełko i wyrzuciłem do kosza na śmieci.

– Dziękuję za cierpliwość – powiedziałem do słuchawki.

– Czy rozmawiam z panem Marlowem, detektywem? – usłyszałem cichy pośpieszny dziewczęcy głosik. Odparłem, że owszem, rozmawia z panem Marlowem, detektywem.

– Ile wynosi opłata za pańskie usługi?

– Z czym konkretnie pani dzwoni?

Głosik stwardniał.

– Nie mogę powiedzieć przez telefon. To... to bardzo poufne. Lecz zanim zmarnuję czas na wizytę w pańskim biurze, chciałabym mieć chociaż ogólne pojęcie o...

– Cztery dychy dniówki plus wydatki. Chyba że to zlecenie, które mogę wycenić z góry.

– To o wiele za drogo – odparł głosik. – Mało zarabiam, a może mnie to wynieść nawet setki dolarów i...

– Skąd pani dzwoni?

– Cóż, ze sklepu. Tuż obok budynku, gdzie ma pan biuro.

– Mogła pani zaoszczędzić pięciocentówkę. Winda jest za darmo.

– S-słucham?

Powtórzyłem.

– Proszę wejść na górę, żebym mógł się pani przyrzec – dodałem. – A jeśli sprawa jest w moim stylu, to wtedy coś wymyślimy.

– Muszę się o panu więcej dowiedzieć – odparł hardo głosik. – Sprawa jest bardzo delikatna, bardzo osobista. Nie mogę o niej rozmawiać z byle kim.

– Skoro jest tak delikatna, to może potrzeba pani kobiety, a nie faceta.

– Ojej, nie miałam pojęcia, że kobiety również się tym zajmują. – Ucichła na chwilę. – Ale kobieta detektyw chyba się nie nada. Rozumie pan, panie Marlowe, Orrin mieszkał w nie najlepszej okolicy. Przynajmniej według mnie. Zarządca jego hotelu pracowniczego był odpychającym typem i śmierdział alkoholem. Pan pije, panie Marlowe?

– Cóż, skoro już o tym mowa...

– Bo chyba nie zatrudniłabym detektywa, który sięga po alkohol. Tytoniu też nie akceptuję.

– A obieranie pomarańczy?

Ze słuchawki dobiegł mnie świst oddechu.

– Mógłby pan chociaż wysławiać się jak dżentelmen – powiedziała.

– Może niech pani lepiej zadzwoni do jakiegoś klubu akademickiego – odparłem. – Ponoć paru im zostało, ale nie wiem, czy dadzą się pani z nimi pobawić.

Rozłączyłem się. Był to krok w dobrym kierunku, ale nie dość duży. Trzeba było zamknąć drzwi na klucz i schować się pod biurkiem.

PIĘĆ MINUT PÓŹNIEJ usłyszałem dźwięk brzęczyka zamontowanego przy drzwiach prowadzących z korytarza do przedsionka, z którego zrobiłem poczekalnię. Po chwili drzwi trzasnęły i zapadła cisza. Te między gabinetem a poczekalnią były uchylone. Krótco nasłuchiwałem, po czym uznałem, że ktoś najwyraźniej pomylił biura i od razu wyszedł. Nagle rozległo się pukanie we framugę, a zaraz potem chrząknięcie, które pełni tę samą funkcję. Zdjąłem stopy z blatu biurka, podniosłem się z fotela i wyjrzałem. Stała tam. Nie musiała nawet otwierać ust, żebym się domyślił, kogo miałem przed sobą. Nikt nigdy bardziej nie wyglądał na zupełne przeciwieństwo Lady Makbet niż ona. Była drobna, schludna i akuratna jak pensjonarka z tymi przylizanymi ciemnymi włosami i okularami bez ramek. Miała na sobie szyty na miarę brązowy kostium, a przez ramię przewiesiła jedną z tych dziwacznych kwadratowych torebek, które przypominały połowe apteczki sióstr miłosierdzia. Przylizane włosy zdobił kapelusik, który zbyt wcześnie odebrano matce. Nie miała makijażu, nawet szminki, nie nosiła biżuterii. Okulary bez ramek nadały jej wygląd bibliotekarki.

– Nie tak się rozmawia z ludźmi przez telefon – powiedziała ostro. – Powinien się pan wstydzić.

– Wstydzę się, tylko jestem zbyt dumny, żeby dać cokolwiek po sobie pokazać – odparłem. – Proszę wejść.

Przytrzymałem dziewczynie drzwi i podstawiłem jej fotel. Przysiadła na samiotkim brzeżku.

– Gdybym zwracała się tak do pacjentów doktora Zugsmitha, już dawno straciłabym posadę – stwierdziła. – Pan doktor przywiązuje ogromną wagę do tego, jak rozmawiam z jego pacjentami, nawet trudnymi.

– Jak się chłopina miewa? Nie widziałem go od czasu, kiedy polecałem na łeb z garażu.

Wyglądała na zaskoczoną i jak najbardziej poważną.

– Nie może pan znać doktora Zugsmitha. – Koniuszek dość bladego języka wyskoczył spomiędzy jej warg, jakby czegoś szukał, ale na próżno.

– Znam doktora George’a Zugsmitha – powiedziałem. – Z Santa Rosa.

– Oj nie. Chodzi o doktora Alfreda Zugsmitha, z Manhattanu. Z Manhattanu w stanie Kansas, rozumie pan, nie tego w Nowym Jorku.

– Czyli to jakiś inny Zugsmith – wywnioskowałem. – A jak pani godność?

– Nie wydaje mi się, żebym chciała to panu zdradzić.

– Tylko się pani rozgląda, co?

– Chyba można tak powiedzieć. Ale skoro już mam powierzyć sprawy rodzinne nieznanemu, to wolno mi się chociaż upewnić, że to osoba, której mogę zaufać.

– Czy słyszała już pani, że niezłe z pani ziółko?

Jej oczy błysnęły zza szkieł.

– Na szczęście nie.

Sięgnąłem po fajkę i zacząłem ją nabijać.

– Szczęście to niezbyt fortunne słowo – powiedziałem. – Proszę pozbyć się tego kapelusika i sprawić sobie zmysłowe okulary z kolorowymi oprawkami. Kojarzy pani, takie fikuśne, lekko orientalne.

Odpowiedziała pospiesznie:

– Doktor Zugsmith z pewnością by tego nie pochwalił.

Po chwili dodała z lekkim rumieńcem:

– Tak pan myśli?

Przyłożyłem zapaloną zapałkę do główki fajki i wydmuchałem dym nad blatem biurka. Odsunęła się z grymasem.

– Jeśli mnie pani zatrudni, to bierze mnie pani takiego, jaki jestem – powiedziałem. – Po prostu. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. Jeśli pani myśli, że znajdzie w tej branży katechetę, to jest pani pomyłona. Przyszła pani do mnie, choć się rozłączyłem. Czyli potrzebuje pani pomocy. Jak się pani nazywa i jaki ma pani kłopot?

Wpatrywała się we mnie bez słowa.

– Proszę posłuchać – powiedziałem. – Przyjechała pani z Manhattanu w stanie Kansas. O ile dobrze pamiętam z *Almanachu świata*, jest to miścina nieopodal Topeki, jakieś dwanaście tysięcy mieszkańców. Pracuje pani dla doktora Alfreda Zugsmitha i szuka kogoś imieniem Orrin. Manhattan to małe miasteczko. Nie może być inaczej. Tylko kilka miejscowości w całym stanie zasługuje, by nazywać je miastami. Mam już dość informacji, żeby poznać historię pani rodziny.

– Czemu miałby pan to robić? – zapytała zmieszana.

– Ja? – odparłem. – Ale ja wcale nie chcę tego robić. Mam dość ludzi opowiadających mi historyjki. Siedzę

tutaj, bo nie mam dokąd pójść. Nie chce mi się pracować. Nic mi się nie chce.

– Za dużo pan mówi.

– Owszem – przyznałem. – Za dużo. Samotni mężczyźni za dużo mówią. Albo w ogóle się nie odzywają. Przejdziemy do rzeczy? Nie wygląda pani na kogoś, kto zwykł korzystać z usług detektywa, a już na pewno takiego, którego pani nie zna.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła cicho. – Orrin by się rozgniewał. Matka też. Wybrałam pańskie nazwisko z książki telefonicznej...

– Jakim sposobem? – zapytałam. – Z oczami zamkniętymi czy otwartymi?

Spojrzała na mnie jak na wariata.

– Siedem i trzystaście – powiedziała pod nosem.

– Słucham?

– „Marlowe” to siedem liter, a „Philip Marlowe” trzystaście – powiedziała. – Siedem i trzystaście daje...

– Jak się pani nazywa? – niemal prychnąłem.

– Orfamay Quest. – Zmrużyła oczy, jakby miała się rozpłakać, i przeliterowała swoje imię na jednym wydechu, po czym szybko podjęła wątek, pośpiesznie wystrzelując z siebie kolejne słowa, jakbym podliczał ją za swój czas. – Mieszkam z matką. Ojciec zmarł przed czterema laty. Był lekarzem. Mój brat Orrin także miał zostać chirurgiem, ale po dwóch latach medycyny przeniósł się na inżynierię. Rok temu Orrin zaczął pracę dla Cal-Western Aircraft Company w Bay City. Nie musiał, miał dobrą posadę w Wichicie. Chyba chciał się przenieść do Kalifornii. Jak ponoć każdy.



– Jak podobno każdy – odparłem. – Jeśli zamierza pani dalej nosić te okulary bez oprawek, to proszę się chociaż wysławiać jak należy.

Zachichotała i spuszcżając głowę, przesunęła koniuszkiem palca po blacie biurka.

– Chodziło panu o te skośne, które nadają orientalny wygląd?

– Aha. Ale wróćmy do Orrina. Dojechaliśmy z nim do Kalifornii, a potem do Bay City. Co dalej?

Zadumała się na moment i zmarszczyła czoło. Przyjrzała się mojej twarzy, jakby się nad czymś namysłała, aż słowa się z niej wylały:

– To nie w stylu Orrina, żeby nagle przestać pisać. W ciągu minionego półrocza wysłał zaledwie dwa listy do matki i trzy do mnie. Ostatni parę miesięcy temu. Niepokoiliśmy się. Miałam do wykorzystania urlop i przyjechałam się z nim zobaczyć. Nigdy nie wyjeżdżał z Kansas.

Zamilkła.

– Nie robi pan żadnych notatek? – zapytała.

Mruknąłem.

– Myślałam, że detektywi ciągle coś zapisują w tych swoich notesikach.

– To ja tu jestem od dowcipkowania, a pani niech opowiada. Przyjechała pani na urlop. I co?

– Uprowadziłam Orrina, że przyjeżdżam, lecz nie otrzymałam odpowiedzi. Potem wysłałam mu telegram z Salt Lake City, ale również nie odpowiedział. Zostało mi tylko pojechać do niego. Okropnie długa droga. Przyjechałam autobusem. Adres: Bay City, Idaho Street 449.

Ponownie przerwała. Powtórzyła adres, ale i tym razem go nie zapisałem. Siedziałem tylko, patrząc na jej okulary, przyлизane brązowe włosy, śmieszny kapelusik, niepomalowane paznokcie, usta bez szminki i czubek drobnego języka, który cały czas błędził między bladymi wargami.

– Może pan nie zna Bay City, panie Marlowe.

– Ha – odparłem. – O Bay City mogę powiedzieć pani tyle, że za każdym razem, kiedy stamtąd wracam, muszę wymieniać cylinder. Mam dokończyć tę opowieść za panią?

– S-słucham? – Otworzyła oczy tak szeroko, że za szklami wyglądały jak coś za szybą akwarium w ogrodzie zoologicznym.

– Przeprowadził się – odpowiedziałem. – I nie ma pani pojęcia dokąd. Boi się pani, że prowadzi grzeszne życie w penthousie na szczycie Regency Towers u boku panny, która nosi futro z norek i ciekawie pachnie.

– Na litość boską!

– Jestem zbyt obcesowy? – zapytałem.

Zaczerwieniła się.

– Błagam, panie Marlowe – odezwała się nareszcie. – W życiu nie pomyślałabym czegoś takiego o Orrinie. Gdyby pana słyszał, toby pan pożałował. Potrafi być niebywale wredny. Ale wiem, że coś się stało. Ten hotel pracowniczy był naprawdę obskurny. Zarządca nie spodobał mi się nic a nic. Okropny człowiek. Powiedział, że Orrin wyprowadził się przed paroma tygodniami, ale nie wiedział dokąd. Zresztą nic go to nie obchodziło, interesowało go jedynie, żeby sobie golnąć dżinu. Nie mogę pojąć, jak Orrin mógł zamieszkać w takim miejscu.

– Powiedziała pani „golnąć dzinu”? – zapytałem.

Zarumieniła się.

– Tak się wyraził zarządca. Przekazuję tylko jego słowa.

– Jasne. Proszę mówić dalej.

– Cóż, zatelefonowałam do firmy, w której pracował, do Cal-Western Aircraft Company, pamięta pan. Tam powiedzieli, że go zwolnili razem z mnóstwem innych osób. I tyle. Poszłam więc na pocztę i zapytałam, czy może Orrin nie przekierował korespondencji na inny adres, lecz nie mogli udzielić mi podobnej informacji, bo to niezgodne z przepisami. Powiedziałam jednak panu z okienka, o co chodzi, i zgodził się wyświadczyć mi tę grzeczność, skoro jestem siostrą Orrina. Poszedł na zaplecze sprawdzić, ale wrócił z niczym. Orrin niczego nie zgłaszał. I wtedy się trochę zaniepokoiłam. Mógł mieć jakiś wypadek albo coś podobnego.

– Przyszło pani do głowy, żeby zawiadomić policję?

– Nie śmiałybym. Orrin nigdy by mi nie wybaczył. To niełatwy człowiek, nawet gdy akurat ma dobry humor. Nasza rodzina...

Zawahała się i zobaczyłem w jej oczach coś, co usiłowała zdusić, dlatego szybko podjęła z powrotem:

– Nasza rodzina nie jest taka, żeby...

– Chwileczkę – przerwałem zniecierpliwiony. – Przecież nie mówię, że gwizdnął komuś portfel, tylko że potrącił go samochód i stracił pamięć albo został ranny i nie może mówić.

Rzuciła mi ostre, niezbyt pochlebne spojrzenie.

– Gdyby wydarzyło się coś podobnego, to byśmy się dowiedziały – odparła. – Każdy nosi przy sobie coś, co pozwala go zidentyfikować.

– Czasem człowiek ma puste kieszenie.

– Czy pan próbuje mnie nastraszyć, panie Marlowe?

– Nawet jeśli, to chyba średnio mi idzie. A pani jak myśli, co się mogło zdarzyć?

Uniosła chudziutki palec do ust i bardzo ostrożnie dotknęła go czubkiem języka.

– Gdybym wiedziała, tobym do pana nie przyszła. Ile pan weźmie za znalezienie go?

Nie odzywałem się przez dłuższą chwilę.

– Znaczy się samemu, nie mówiąc o tym nikomu? – zapytałem.

– Tak. Samemu, nie mówiąc o tym nikomu.

– Aha. Cóż, to zależy. Zna pani moje stawki.

Złapała za krawędź blatu i mocno zacisnęła palce. Tak osobliwej gestykulacji jeszcze nie widziałem.

– Sądziłam, że skoro jest pan detektywem, to znajdzie go pan od ręki – powiedziała. – Nie stać mnie, by zapłacić więcej niż dwadzieścia dolarów. Muszę opłacić sobie posiłki, hotel i bilet powrotny, a noclegi są tutaj bardzo drogie, nie mówiąc już o jedzeniu w pociągu...

– Gdzie się pani zatrzymała?

– Chyba wolalabym nie mówić, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

– Dlaczego?

– Po prostu. Strasznie się boję, jak to przyjmie Orrin. Poza tym mogę do pana dzwonić, prawda?

– Aha. Czego jeszcze się pani boi poza humorami Orrina, panno Quest?

Pozwoliłem fajce zgasnąć. Zapaliłem zapałkę i przytknąłem ją do główki, nie spuszczać jej z oka.

– Czy palenie fajki to nie paskudny nałóg? – zapytała.

– Zapewne – odparłem. – Ale potrzeba więcej niż dwudziestu dolarów, żebym go rzucił. I proszę mnie nie zbywać.

– Nie może pan tak do mnie mówić – obruszyła się. – Palenie fajki to paskudny nałóg. Matka nigdy nie pozwalała ojcu palić w domu, nawet przez ostatnie dwa lata, po jego wylewie. Czasem siadywał z pustką fajką w ustach. Za tym również nie przepadała. Mieliśmy spore długi i powtarzała, że nie stać jej na wyrzucanie pieniędzy na zbędne rzeczy, jak tytoń, a zresztą kościół potrzebuje ich jeszcze bardziej niż my.

– Zaczynam rozumieć – wycedziłem. – W takiej rodzinie ktoś musi robić za czarną owcę.

Zerwała się z fotela, przyciskając do piersi tę swoją apteczkę.

– Nie podoba mi się pan – powiedziała. – I chyba pana nie zatrudnię. Insynuuje pan, że Orrin zrobił coś złego, ale zapewniam, że to nie on był u nas czarną owcą.

Nawet mi powieka nie drgnęła. Dziewczyna obróciła się, pomaszerowała do drzwi i złapała za gałkę, ale nagle obróciła się raz jeszcze, pomaszerowała z powrotem i wybuchła płaczem. Zareagowałem na to tak żywiłowo, jak wypchana ryba na przynętę. Wyciągnęła chusteczkę i otarła kąciki oczu.

– A teraz pewnie zadzwoni pan na p-policję – powiedziała przez ściśnięte gardło. – I manhattańska g-gazeta dowie się o wszystkim i wydrukują coś n-nieprzyjemnego na nasz temat.

– Niechże pani da spokój z tymi domysłami. Proszę mi nie grać na emocjach. Rzućmy okiem na jego zdjęcie, dobrze?

Pośpiesznie odłożyła chusteczkę i wyłowiła coś z torebki. Położyła na biurku kopertę. Była co prawda cienka, ale dałoby się tam upchnąć kilka odbitek. Nie zająłem do środka.

– Proszę mi go opisać, jak go pani pamięta – powiedziałem.

Zadumała się. Pozwoliło jej to puścić brwi w ruch.

– W marcu skończył dwadzieścia osiem lat. Ma jasnobrązowe włosy, znacznie jaśniejsze od moich, i niebieskie oczy, też jaśniejsze. Czesze się do tyłu. Jest bardzo wysoki, ponad metr osiemdziesiąt. Ale waży niewiele ponad sześćdziesiąt kilogramów. Jest raczej kościsty. Kiedyś nosił cieniutki blond wąsik, ale matka kazała mu go zgolić. Powiedziała, że...

– Niech zgadnę. Książd dobrodziej musiał wypchać czymś poduszkę.

– Proszę tak nie mówić o mojej matce – pisnęła, blednąc z gniewu.

– Och, niech się pani nie wygłupia. Jeszcze nie wiem o pani wszystkiego, ale proszę przestać zgrywać taką miżozę. Czy Orrin ma jakieś cechy szczególne, znamiona, blizny albo tatuaż z wersetami z dwudziestego trzeciego psalmu na piersi? I bez fochów proszę.

– Nie musi pan na mnie krzyżeć. Może spojrzysz pan na zdjęcie?

– Pewnie jest na nim ubrany. Przecież jest pani jego siostrą. Pani będzie wiedziała najlepiej.

– Nie, nie ma – odparła sztywno. – Tylko małą bliznę na lewej dłoni, po usunięciu kaszaka.

– A jego zwyczaje? Co robi, żeby się rozerwać... poza tym, że nie pali, nie pije i się z nikim nie umawia?

– Ale... skąd pan to wie?

– Pani matka mi powiedziała.

Uśmiechnęła się. Dobrze, bo zaczynałem się zastanawiać, czy w ogóle potrafi. Miała równe białe zęby i nie świeciła dziąsłami. To już coś.

– Żartowniś z pana – powiedziała. – Orrin dużo się uczy i ma bardzo drogi aparat, którym robi zdjęcia ludziom bez ich wiedzy. Czasem się złością. Ale Orrin powtarza, że powinni zobaczyć siebie takimi, jakimi są naprawdę.

– Miejmy nadzieję, że jemu się to nie przydarzy – powiedziałem. – Co to za aparat?

– Taki malutki, z bardzo dobrym obiektywem. Można robić zdjęcia w każdym świetle. Leica.

Otworzyłem kopertę i wyciągnąłem z niej kilka niewielkich, lecz bardzo wyraźnych odbitek.

– Ale te zdjęcia zrobiono innym sprzętem – powiedziałem.

– Nie, nie, te zrobił Philip, Philip Anderson. Chłopak, z którym umawiałam się przez jakiś czas. – Zamilkła i odetchnęła ciężko. – I chyba tak naprawdę dlatego tutaj przyszłam, panie Marlowe. Bo pan też ma na imię Philip.

– Aha – odparłem, ale poczułem coś na kształt wzruszenia. – Co się stało z Philipem Andersonem?

– Przecież chodzi o Orrina...

– Wiem, wiem – przerwałem. – Ale co się stało z Philipem Andersonem?

– Nadal mieszka w Manhattanie. – Odwróciła wzrok. – Matka za nim nie przepada. Pewnie sam pan wie, jak to jest.

– Tak – odparłem. – Wiem, jak to jest. Może pani płakać, jeśli pani chce. Nie pogniewam się. Ze mnie też przerośnięty mięczak.

Spojrzałem na dwie fotografie. Jedną zrobiono z góry i na niewiele mi się przydała. Druga, całkiem niezłe wykadrowana, przedstawiała wysokie kościste ptaszysko o blisko osadzonych oczach, z wąskimi ustami i ostrym podbródkiem. Miał dokładnie taki grymas, jakiego się spodziewałem. Zapomnij wytrzeć buty, a ten chłopak raz dwa ci to wytknie. Odłożyłem zdjęcia i spojrzałem na Orfamay Quest, próbując doszukać się na jej twarzy czegoś podobnego. Nie udało mi się. Ani śladu rodzinnego podobieństwa, co oczywiście nie znaczyło absolutnie nic. Jak zawsze.

– Dobrze – powiedziałem – pojedę i się rozejrzę. Ale powinna była pani sama się domyślić, co się stało. Przyjechał do obcego miasta, przez jakiś czas zarabiał dobre pieniądze. Pewnie więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Spotkał ludzi, z jakimi nie miał do tej pory do czynienia. A Bay City ani trochę nie przypomina Manhattanu w stanie Kansas. Może mi pani wierzyć, dobrze je znam. Zerwał się ze smyczy i nie chce, żeby rodzina się o tym dowiedziała. Ale jeszcze wyjdzie na prostą.

Przez chwilę patrzyła na mnie, nie odzywając się ani słowem, po czym pokręciła głową.

– Nie, Orrin taki nie jest, panie Marlowe.

– Każdy taki jest – odparłem. – Zwłaszcza tacy jak Orrin. Małomiasteczkowy świętoszek, który całe życie spędził z matką na karku i pastorem trzymającym go za rączkę. A tutaj był sam. Miał kasę. Chciał zafundować sobie trochę słodyczy i światła, ale nie takiego, które



bije z ambony. Nie żebym to potępiał. Chodzi mi tylko o to, że miał już serdecznie dosyć. Prawda?

Pokiwała głową.

– Dlatego włączył się do gry – mówiłem dalej. – Choć nie miał pojęcia, jak się w nią gra. Tego też się trzeba nauczyć. Zgarnął flaszkę, zapoznał jakąś lafiryndę i poczuł się, jakby zwinął biskupowi kalesony. Bądź co bądź zaraz skończy dwadzieścia dziewięć lat, i jeśli chce się stoczyć, to jego sprawa. I tak prędzej czy później znajdzie kogoś, kogo za to obwini.

– Nie chcę w to wierzyć, panie Marlowe – powiedziała powoli. – Nie chcę, by matka...

– Mówiła pani coś o dwóch dychach – przerwałem.

Wydawała się zaskoczona.

– Mam zapłacić od razu?

– A jakie zwyczaje panują w Manhattanie w Kansas?

– Nie mamy tam prywatnych detektywów. Tylko zwyczajną policję. Znaczą się... chyba nie mamy.

Zajrzała ponownie do swojego przybornika i wyłowiła zeń czerwoną portmonetkę, z której wyciągnęła starannie i osobno poskładane banknoty. Trzy piątki i pięć jedynek. Dużo jej nie zostało. Wyglądało, jakby umyślnie trzymała portmonetkę tak, żebym zobaczył, jak w niej pusto. Położyła banknoty na biurku, jeden na drugim, i przesunęła w moją stronę. Bardzo powoli i ze smutkiem, jakby topiła ukochanego kotka.

– Wypiszę pokwitowanie – powiedziałem.

– Nie potrzebuję pokwitowania, panie Marlowe.

– Ale ja potrzebuję. Nie chce mi pani podać nazwiska wraz z adresem, to chcę mieć coś z pani nazwiskiem.

– Po co?

– Aby móc udowodnić, że panią reprezentuję. – Wyciągnąłem druczki, wypisałem pokwitowanie i podałem jej, żeby podpisała duplikat. Nie chciała, ale po chwili ostrożnie złapała za ołówek i starannym sekretarskim piśmem wykaligrafowała na karteczce: „Orfamay Quest”.

– Adresu nadal nie dostanę? – zapytałem.

– Wolałabym go nie podawać.

– Proszę więc do mnie dzwonić, o każdej porze. Mój domowy numer także jest w książce telefonicznej. Bristol Apartments, mieszkanie numer 428.

– Raczej pana nie odwiedzę – powiedziała chłodno.

– Jeszcze pani nie zaprosiłem – odparłem. – Proszę dzwonić koło czwartej, jeśli to pani pasuje. Może coś już będę miał. A może nie.

Wstała.

– Oby matka nie miała mi tego za złe – powiedziała, skubiąc wargę bladym paznokciem. – Znaczący tego, że tu przyszedłem.

– Proszę już nie mówić o tym, co nie spodobałoby się pani matce. Po prostu o tym nie mówmy.

– No doprawdy!

– I proszę też nie mówić „no doprawdy”.

– Myślę, że jest pan wyjątkowo bezczelny – powiedziała.

– Nieprawda. Myśli pani, że jestem uroczy. A ja myślę, że jest z pani fascynująca kłamczucha. Chyba nie sądzi pani, że zrobię to dla dwóch dych, co?

Rzuciła mi ostre, niespodziewanie oziębłe spojrzenie.

– To dlaczego?

Kiedy nie odpowiedziałem, zapytała:

– Bo czuć już wiosnę?

Nadal nie reagowałem. Zarumieniała się lekko i się roześmiała.

Nie miałem serca jej powiedzieć, że byłem straszliwie znudzony nieróbstwem. A może rzeczywiście chodziło o wiosnę. I o to coś w jej oczach, znacznie starsze niż Manhattan w stanie Kansas.

– Myślę, że jest pan bardzo miły, naprawdę – powiedziała cicho.

Odwróciła się szybko i niemal wybiegła z biura. Jej kroki dobiegające z korytarza brzmiały raptownie i ostro, jak dziobanie albo stukanie palcami o krawędź stołu, kiedy matka daje wyraz swojej dezaprobacie na widok ojca, który sięga po drugi kawałek ciasta. A przecież nic już nie zarabia. Przecież niczego już nie ma. Siedzi tylko na ganku w Manhattanie w stanie Kansas i buja się na fotelu, przygryzając pustą fajkę. Kołysze się powoli i spokojnie, bo po wylewie do wszystkiego podchodzisz powoli i spokojnie. I czekasz na następny. W ustach pusta fajka. Ani grama tytoniu. I nic do roboty poza czekaniem.

Schowałem ciężko zarobione dwadzieścia dolarów Orfamay Quest do koperty, podpisałem jej imieniem i włożyłem do szuflady. Nie chciałem ganiać po mieście z taką sumą.